

Pogodny FATALIZM?

Z Jackiem Kaczmarem
rozmawia Robert Siwiec

R.S. - Kiedy dowiedziałeś się, że to rak lekarze nie dawali Ci zbyt wielkiej nadziei - skalpel i kilka procent szans na wyzdrowienie... Wybrałeś leczenie eksperymentalne.

- Ksiądz Tischner powiedział kiedyś, że nie należy trzymać się życia za wszelką cenę. To bliskie mojemu pogodnemu fatalizmowi. Uznałem, że operacja bez gwarancji wyzdrowienia, za to z gwarancją wielomiesięcznych lub wieloletnich męczarni i kalectwa, to za dużo i dla mnie, i dla bliskich. Wolałem podjąć ryzyko terapii bezinwazyjnej. Nie, żeby bałem się bólu i cierpienia, choć się bałem, ale chodziło o sensowność. Tradycyjni lekarze otwarcie doradzali Alicji przygotowywanie się do roli wdowy. To po co się męczyć?

R.S. - Kiedy okazało się, że jesteś chory, właściwie z całej Polski zaczęły napływać deklaracje pomocy. Nawet ci artyści, z którymi wcześniej nie było Ci po drodze ani artystycznie, ani towarzysko jak na rozkaz zgłaszały akces do koncertów na cel Twojego leczenia...

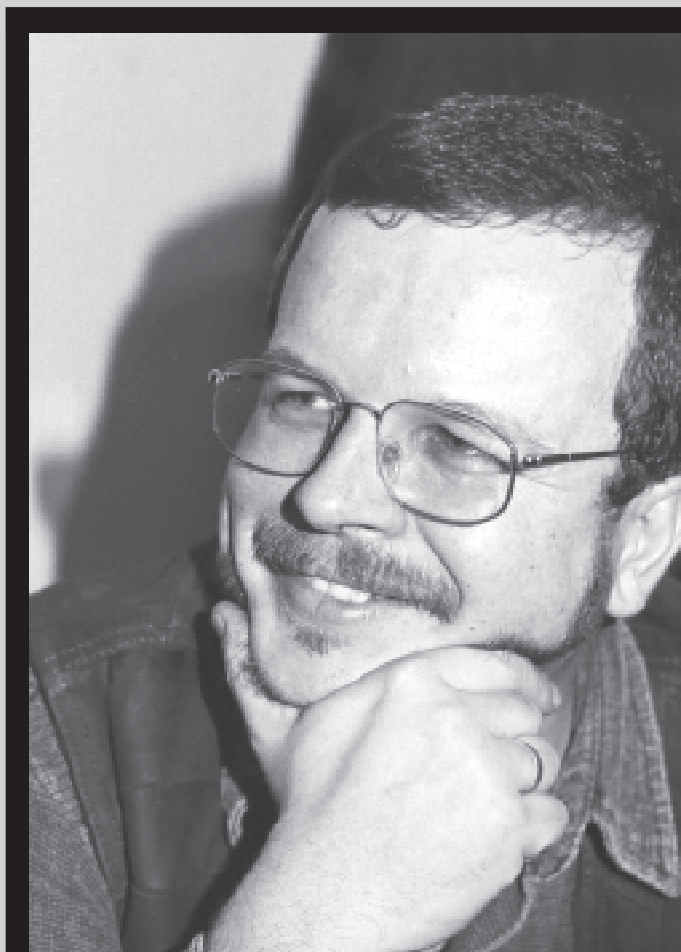
- To był ogromny szok dla mnie, w pozytywnym sensie i niezwykle, wymierna pomoc finansowa. Jak większość artystów spoza establishmentu estradowego żyłem z dnia na dzień i nie stać by mnie było na leczenie alternatywne, bo jest kosztowne i żadna ubezpieczalnia tego nie zwraca. Wystarczy powiedzieć, że jedno tylko lekarstwo, z wielu, które pomogły mi przeżyć te półtora roku kosztowało ok. 20 tys. zł miesięcznie. Zaciągnąłem dług nie do spłacenia, również emocjonalny.

R.S. - Przez cały czas jest przy Tobie Alicja...

Wzięła na siebie nie tylko obciążenie związane z moją chorobą, ale także całą presję bliskich i dalekich, nalegających na operację, na tradycyjną interwencję. W tym sensie zawdzięczam jej życie, bo spośród ludzi o podobnych schorzeniach, których poznałem w czasie moich wędrówek po szpitalach i przychodniach, ci, którzy zdecydowali się na nóż i chemię w większości już nie żyją. Ci, którzy leczą się podobnie jak ja - nadal są wśród nas. Nie chcę tu nic generalizować, to jest choroba silnie zindywidualizowana, ale mówię, jakie mam doświadczenia. Ala chroniła mnie przez cały ten czas przed bardziej stresującymi informacjami i, co tu dużo gadać, znosiła efekty moich dołków, które w tak długim czasie musiały być męczące. Paradoksalnie, w którymś momencie zdaliśmy sobie sprawę, że w tym nieszczęściu dopiero umiemy docenić szczęście bycia razem. To było cudowne doświadczenie i, co najważniejsze - trwa.

R.S. - Kiedy jest się chorym na śmiertelną chorobę inaczej się patrzy na świat, ludzi, siebie samego?

Spokojniej, z dystansem i rodzajem czarnego humoru. Ale, czy w Polsce można inaczej, niezależnie od stanu zdrowia? To będzie między innymi tematem książki, którą piszę.



R.S. - „Proszę Pani, cierpieć się staram” ...?

- To nie mój przypadek. Przylapuję się na tym, że sprawia mi frajdę troska bliskich o mnie. To nieładne uczucie, próżne. Natomiast cierpieć na pewno nie lubię i staram się tego unikać, ale - jak już mówiłem - nie za wszelką cenę.

R.S. - Odkąd założono Ci rurkę tracheostomijną, masz kłopoty z mówieniem. Zawsze byłeś niepoprawnym gadułą...

- Staram się gadać mimo wszystko. Ale ograniczenia fizyczne mają tę dobrą stronę, że zmuszają mnie do zwięzłości. Otoczenie chyba tylko na tym zyskuje...

R.S. - Nie możesz też normalnie jeść - odżywasz się przez rurkę podłączoną do żołądka.

- Owszem. Dlatego czasami w nocy śnią mi się smaki zwykłych potraw... Czarny chleb z masłem do śledzia w oleju. Smak czystej wody. Kwaśnej zupy ogórkowej. Z tym, że nic nie stoi na przeszkodzie, bym markował jedzenie - wkładał w otwór gębowy potrawę, żuł je, a przeżute - wypluwał. Mało to estetyczne, ale przynajmniej takie łakomstwo nie grozi nadwagą.

R.S. - Można być pogodnym, będąc chorym na raka?

- Można być pogodnym w każdej sytuacji. Kwestia tylko, czy to efekt dany przez naturę, czy można się do tego zmusić? W chwilach złych po prostu staram się sobie samemu uprzytomnić, że ponuractwo i rozczulanie się nad sobą nic mi nie daje, a wręcz przeciwnie - może tylko zaszkodzić. I te dołki daje się przetrwać, z pomocą bliskich, z pomocą właściwych lektur, wreszcie przez skłonienie samego siebie do pracy. Ukończony wiersz, to gwarancja paru dni dobrego samopoczucia.

foto. z archiwum R. Siwca